

11.275

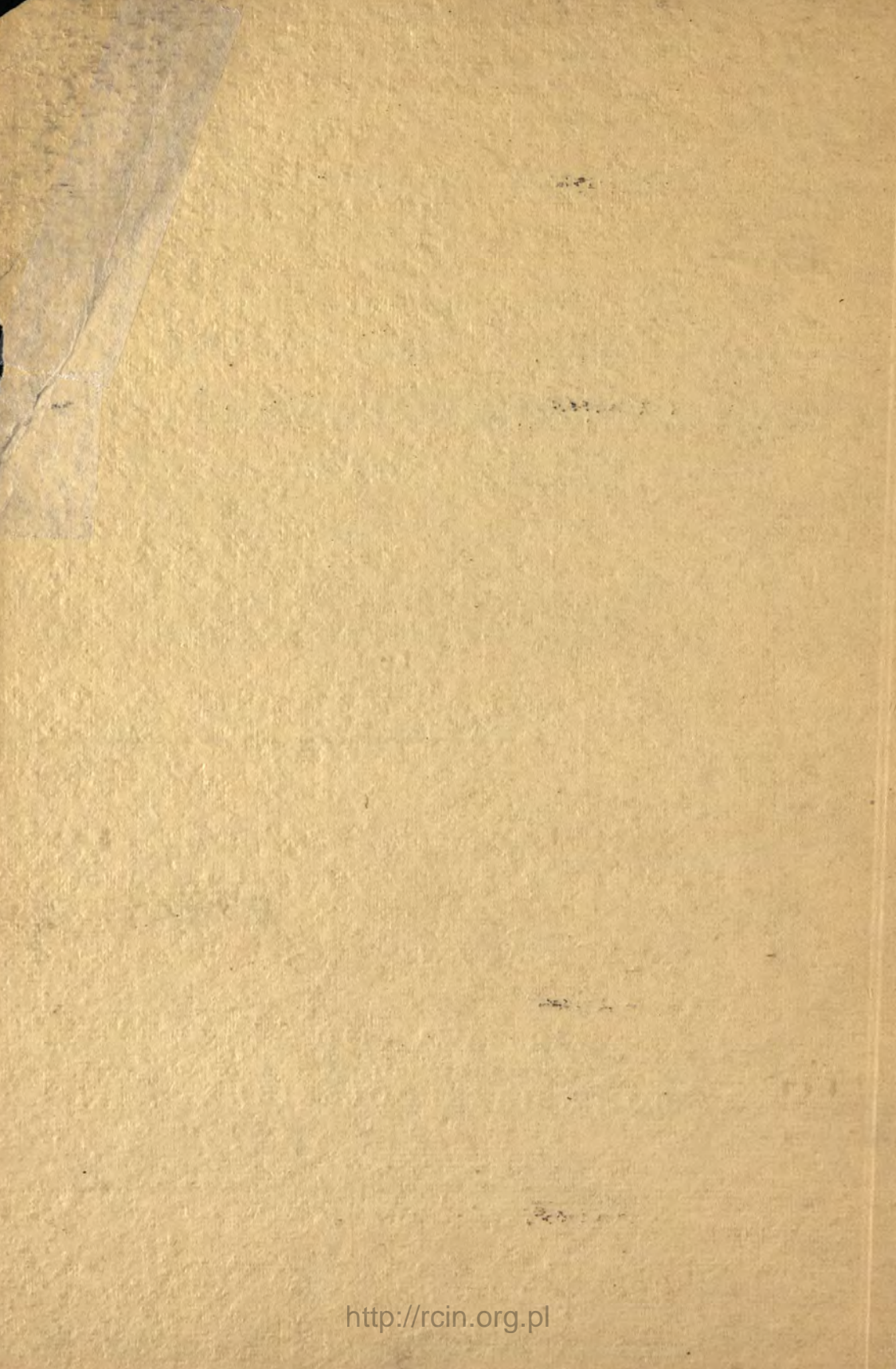
CEZARY JELLENTA

**DOSTOJNY PROFESOR
NA ZAMKU KRÓLEWSKIM**

WARSZAWA — 1931

SKŁAD GŁÓWNY:

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ



INSTYTUT
BADAŃ IHSOASTYCH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63

DOSTOJNY PROFESOR
NA ZAMKU KRÓLEWSKIM

*Wielce Szanowny Profesor
Gabryel Korbuc
ze żłecze przyjaciel wraz z wsparciem
uspokojono uznaniem
od Ter. Jellenty
w marcu 1931 r.*

Copyright by Cezary Jellenta,
Warsaw

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie



CEZARY JELLENTA

DOSTOJNY PROFESOR
NA ZAMKU KRÓLEWSKIM

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

WARSZAWA — 1931
SKŁAD GŁÓWNY:
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

**W POWIEŚCIACH SWOICH WSKAZUJĘ LUDZIOM TYCH,
KTÓRYCH TRZEBA UNICESTWIAĆ, W STUDJACH — TYCH
KTÓRYM NALEŻY POMNIKI ZA ŻYCIA STAWIAĆ.**



11.275

<http://rcin.org.pl>

Zwierzchnicy wielkiego odrodzonego Państwa, jakim jest Polska, powołani na swój wysoki urząd niemal na-
zajutrz po rozświcie przywróconej narodowi niepodle-
głości, są już przez to samo tematem w najwyższym stop-
niu pociągającym i rozległym — dla każdego umysłu
wrażliwego, dla każdego poszukiwacza wyższych war-
tości. Zawsze widziałem w tych ludziach niby czarodziej-
skie świetlane koła, fascynujące, zdolne urzekać wyo-
braźnię. Są przecież wysłańcami palingenezy, symbolami
wielkiego przewrotu w systemacie politycznym starego
świata.

Widziałem w nich wspaniałe owoce najciekawszych
i najmądrzejszych zrzążeń historii, która oto wielki or-
ganizm państwowy i naród trzydziestomiljonowy, o naj-
śmielszych nieraz wzlotach natchnienia i królewskości
ducha, umieściła z powrotem na przynależnym mu stop-
niu w hierarchji ludów, tworzących cywilizację.

I dlatego to zawsze pragnąłem Zwierzchnikom tym
móc przyjrzeć się z bliska, móc wcztać się osobiście
w ich oblicza duchowe, poza ceremonjałem parad i urzę-
dowych przemówień.

Dawniej już przeto skwapliwie skorzystałem z zapro-
szenia przyjaciela mojego i kolegi, Konstantego Lenca,
szefa kancelarji cywilnej byłego Prezydenta Rzeczypos-
politej, Stanisława Wojciechowskiego, ażeby bywać pod
gościnnym dachem Belwederu na „czwartkach“, na któ-
rych odzywało się choć może niezbyt mocno echo przyjęć
stanisławowskich. Ale wtedy Państwo jeszczé szamotało

się wśród zygzaków i manowców pierwszych walk o jedność i potęgę. Gdy zaś po maju 1926 weszło na szeroki gościniec mocno kierowanej racji stanu, gdy dusza Państwa okrzepla, a pierwszy jego Obywatel, profesor Ignacy Mościcki, potrafił zjednoczyć w sobie wysoki autorytet z najwyższą popularnością, wtedy jeszcze silniejszą — i całkiem zrozumiałą — stała się we mnie chęć poznania go, przez wyrażenie mu osobiście mojego hołdu.

Z tej chęci zwierzyłem się nowemu naczelnikowi kancelarii cywilnej, D-rowi Adamowi Lisiewiczowi, i niewymowne było moje szczęście, gdy wkrótce potem, dnia 12 listopada, telefon z Zamku przyniósł mi niezapomniane dla mnie słowa:

— Pan Prezydent oczekuje pana jutro o godzinie 12 i pół.

Moją pewnością, że znajdę się wobec dostojnika z nielicznego zastępu intelektów niezwykłych, wyjątkowych, potęgowało to, że wiedziałem, jak zresztą wielu innych chcących być uważnymi i przytomnymi widzami rozłożystej naszej rzeczywistości, — o znakomitych zasługach Prezydenta, które poprzedzały powołanie go do objęcia dzisiejszego historycznego stanowiska.

Nie było mi zgoła obcem, że był to człowiek o nazwisku szlachetnie brzmiącym i osobiście potrzykroć żywy i czynny. Znaną była chwała jego drzewa genealogicznego, którego tyle odrośli walczyło różnemi czasy o wolność ojczyzny. Słyszało się i wiele pisano o znakomitych pracach uczonego elektrotechnika, o dokonanych przezeń ważnych wynalazkach i ulepszeniach, o predylekcji dla przemysłu wojennego, o słynnych metodach użytkowania chemicznych nieużytków, o cennych rezultatach osiągniętych w dziedzinie chemji użyźniania; o wielkiej inicjatywie, którą już jako głośny uczoney rozwijał w Szwajcarii; o jego cudownem wskrzeszeniu Chorzowa i oszalałmającym szybkim wlanu weń wartkiego życia i pulsu, wtedy, gdy Niemcy, opuszczając Śląsk tak byli pewni, że Polacy

rady sobie z wielką fabryką nie dadzą, że jej nawet nie zdewastowali, jak czynić byli zwykli zawsze i wszędzie. I znakomita działalność profesorska i cała litanja prac publicystyczno-naukowych i nieponiechane po dzień dzisiejszy, czynne interesowanie się badaniami chemicznymi we właściwych instytutach: wszystko to mówiło wówczas o wielkiej żywotności i umysłowej żyzności tej sownicie uposażonej natury.

Ze wszystkich tych bliskich węzłów pokrewieństwa z nauką, z ambicji bogacenia własnego kraju, z całego tego rozpędu twórczego, z rozumienia ducha czasu — wniosek się wysnuwał sam przez się, że rezyduje na Zamku Królewskim naukowiec i działacz nowoczesny, pionier dróg nowych, „mentalność“ zwrócona ku przeszłości, organizacja całkowita, i przytem osobowość krzepka, dla której księgą mądrości jest nietylko wielkie laboratorium chemiczne, ale i sama przyroda, — z którą się brata każdą swą chwilą odpoczynku, ten przytem zawołany jeździec, strzelec i myśliwy, — i przede wszystkim lud, z którym się w miejscu swoich wywczasów styka ten gorący miłośnik wszystkich naturalnych źródeł nauki, rozumu społecznego i doświadczenia. Cóż dziwnego, że chciałem poznać Piastuna najwyższej godności, któremu taki orszak zasług uTOROWAŁ drogę do rezydencji w pałacu Majestatu?

I

Nietyle była to audjencja, ile obszerne pouczenie i wzebrany treścią referat, wygłoszony w chwili łaskawej przez wielkiego uczonego i najwyższego dostojnika potężnego, odrodzonego Państwa, przed jednym jedynym słuchaczem, który podążał za każdym słowem tej niezmiernie ciekawej ekspozycji myśli i poglądów, skupioną w najwyższym stopniu uwagą.

Mógłbym powiedzieć, że Prezydent poruszył wszystkie najważniejsze problemy dnia i czasów, które przeżywamy.

Oprowadzał po najdalszych horyzontach swoich poglądów. Ich barwa, ich światło ogólne jest takie, że są zarówno w stosunku do Polski, jak i do świata, opromienione rozważnym, ale bezwarunkowym optymizmem; szczególnie zaś głęboka wiara w przyszłość narodu i państwa polskiego opiera się na niewzruszonym przekonaniu, że ten naród posiada właściwości duchowe, na których budować można istotny rozkwit i potęgę.

Nie można mówić o narodzie, zwłaszcza o narodzie przeważnie rolniczym, nie stawiając na przedzie swojej uwagi jego warstw dolnych, stanowiących etnicznie rdzeń i podłoże narodu. Lud polski, ten lud, którego odrębny i wyrazisty charakter, pełen zdrowia i krzepkości, tyle razy odegrał rolę decydującą w historii — a w literaturze, zapładniając ją i poniekąd odnawiając świeżymi sokami, chwałę swą i wartość ukoronował „Chłopami“ Reymon-

ta, — różni się od ludu innych krajów. Prezydent Mościcki podkreśla dobitnie tę różnicę. Z osobistej, bezpośredniej znajomości tego ludu i częstego obcowania z nim wie, że żywił to, obdarzony niewątpliwie własnym swoim sposobem pojmowania i ujmowania rzeczy. To co my nazywamy pospolicie „chłopskim rozumem“, to nietylko wygodne nasze określenie, jako inteligentów nieco dumnych ze swojej wyższości, i nietylko odrębność i stałość uporu lub niepoddawania się łatwym argumentom ludzi miastowych, lecz i pewna swoista zdolność do trafnego krytycznego sądu. Lud ten to materiał pierwszorzędny, często bardzo oporny wobec nauk spływających doń z wyższej kultury, ale w każdym razie samorodny i bardzo często lepiej trafiający w sedno, niż ona.

Dostojny Profesor wzdragałby się powiedzieć to samo o Niemcach, Szwajcarach lub Anglikach, których zna dokładnie. Szwajcarowie np., jak zresztą i Niemcy, mają ogromne zalety pracowitości, dokładności, dyscypliny obywatelskiej i tresury społecznej, ale w masie swej nie są typami o wybitniejszej samodzielności lub inicjatywie myślenia. Potrzeba na to przytłaczającego nakładu pracy szkół i mocno wszczepianych nakazów wyższej kultury, ażeby rodzić się mogły te wielkie umysły, koncepcje i wynalazki, które zapewniły wspomnianym narodom ich przodujące pod niejednym względem stanowisko. Nieinaczej jest i w Anglii, gdzie trzeba wznieść się do tak zwanych sfer wyższych, do szlachty i arystokracji, ażeby znaleźć prawdziwe zdolności, to jest, łatwość przenikania faktów trudnych i zjawisk zawiłych, — i to co się nazywa talentem.

Natomiast wspaniałą bystrość widzi Prezydent w ustroju zdolnościowym Francuza.

Ale i tam, gdzie przestały być rzadkością najwyższe wyżyny intelektualne, w owych mądrych i dumnych ze swoich przewag i prześcignięć środowiskach Zachodu, siłą poruszającą są te cechy i właściwości umysłu, z którymi

struktura myślowa Polaka nie wszystko ma wspólne. Zachód jest niewątpliwie zmaterializowany. U podstawy jego uczuć zawsze trzyma straż zmysł trzeźwego interesu. I znowu dopiero na szczytowych poziomach inteligencji, w kołach wybranych, znajdujemy umiłowania bezużyteczne, czysto ideowe. W Polsce nie trzeba po tę bezinteresowność sięgać aż tak wysoko. Najpowszechniejsze i najgłębsze z uczuć ludzkich, uczucie religijne jest nawet u prostego ludu polskiego szczerem, żadną kalkulacją świadomą czy bezwiedną, nieuwarunkowaniem, kierowaniem myśli i ducha ku wysokościami; modlitwa jego jest o wiele więcej, jeśli nie całkowicie, wolna od domieszek wyrachowania. Jest to nieprzedajne, aż z czasów najdawniejszych zamieszkałe w duszy Polaka, często miłości pełne, utęsknienie za zbliżeniem się do Boga. I naród w swych warstwach oświeconych usposobiony jest lub, jak się dzisiaj mówi, nastawiony bardziej idealistycznie.

Jest to poprostu ta kultura uczuć, która sprawia, że Polak czuje się nawet w najpiękniejszym i najmilszym otoczeniu obczyzny, samotnym i niezrozumianym.

Prezydent Mościcki, należący latami swego umysłowego kształtowania się do pokolenia ludzi, których gwiazdą przewodnią była idea walki o niepodległość Polski, przez to samo poznał ten swoisty ferment ducha, który wogóle był rękojmią a w każdym razie zapowiedzią powrotu narodu do samoistnego życia. Ferment ten, nurt świadomy i bezwiedny, to hartowność, niezłomność, wola, burząca bastjony duchowego despotyzmu i niweczająca zasadzki wroga na czystość i niezawisłość duszy. Prezydent widział dokoła siebie i znał blisko wiele tego rodzaju duchów, niezdolnych czy to do rezygnacji czy do układów ze złem. Miał tych przyjaciół we wszystkich sferach społeczeństwa.

Tu enuncjacje stają się na chwilę rozmową i gawędą i Dostojny Gospodarz wspomina z uznaniem lub wdzięcznością wielu uczonych, literatów, pedagogów, działaczy

politycznych i społecznych. Mówi i dopytuje się o tych, co zawsze dążyli lub jeszcze dążą do celów wyższych, niektórych zaś cześć pamięcią ucznia jako swoich nauczycieli lub przewodników. Wszyscy oni tworzyli ową atmosferę o wysokim napięciu moralnym i ów nastrój gorącej, dydaktycznej, udzielającej się ideowości. W tym miejscu przesuwają się postacie takich jak Piotr Chmielowski, Aleksander Świętochowski, Profesor Bogucki, Ludwik Krzywicki, Jan Władysław Dawid, Stanisław Kramsztyk i inni. Z wielkiem wyróżnieniem wspomina Dostojny Profesor Zygmunta Balickiego, Marjana Bohusza i ich grupę, pierwszą, która na gruncie naszym zaszczerpiła przy głębokim swoim patriotyzmie pewne skrajności nacjonalistyczne. Zawsze zwracało jego uwagę, że mieli oni niezwykły wpływ na młodzież i talent organizowania jej, zwłaszcza na prowincji, ale że tym kołom ich wyznawców brakowało bądź wytrwania bądź cementu takiej ideologii, która trzyma i daje możność rozrostu.

Oczywiście w wysokich rejestrach tych uczuć i tego światła, któremi Prezydent obdziela wybitne jednostki owej doby, nie było miejsca na żaden ton ani półton żalu do kogokolwiek i przygany dla czegokolwiek. Bezwzględna rzeczowość uczonego i mędrca, stojącego ponad partjami, sprawiała, że te wyznania i wspomnienia nigdy nie schodziły z wyżyn surowej bezstronności, pomimo że płynął przez nie gorący nurt człowieka, który wie dobrze, co to jest uczucie, i pozwala mu zajmować we własnym sercu jedno z naczelných stanowisk.

Dogmat uczucia wystąpił w tym całokształcie pouczeń i refleksji poniekąd jako bliźniak dogmatu moralnego hartu, i jako podstawa całego intelektualizmu Prezydenta, jako ogólny pogląd na wzajemny stosunek władz umysłowych. Nie rozum jest najwyższą instancją. Jest wprawdzie potężnym aparatem, który zdobywa wiedzę i poznanie świata, ale musi być wprawiany w ruch przez inne instancje ducha, kto wie, czy nie wyższe, — które są bo-

daj że pierwsze w porządku pracy człowieka nad sobą i nad światem. O tej pierwszej energii ducha Prezydent mówi rozmyślnie terminami naukowymi, jakgdyby chciał, w tym punkcie szczególnie pozostać wiernym swojej osobistej szkole, którą, jako szkołę chemika odkrywcy nazywa sam stanowiskiem „twórczego przyrodnika“.

Tę energję uważa Dostojny Profesor, słynny wynalazca i arystarcha swojej nauki, za taką siłę, którą można ovladnąć, kierować i ludzi zapładniać. Takim to stosunkiem uczucia do rozumu naświetlona i przezeń urobiona ukazuje się Prezydentowi narodowość polska.

I dlatego to Dostojny Profesor, głęboki wyznawca tej uczuciowej mocy ducha, wierzy w przyszłość Polski. Odrodzona, zdążyła zdziałać w ciągu krótkiego czasu rzeczy olbrzymie, aczkolwiek jest jeszcze młodem, dopiero krzepnącem pacholęciem niepodległości. Dzięki takiej strukturze swojego ducha Polska może się nie obawiać swoich wrogów, opierających swoją ideologję wyłącznie na sile rozumu. Może się ona nie obawiać nawet groźnej inwazji komunizmu. Ten plon, którym się mogą komuniści u nas chępić, jest żniwem zebraniem na glebie nieuporządkowanych jeszcze stosunków ekonomicznych, czyli poprostu biedy, wynikającej z powszechnego kryzysu gospodarczego i zachwaszczenia roli przez stuletnią niewolę.

Najlepiej i najtrafniej — dodaje Prezydent — wyraził tę ddiagnozę pewien przywódca komunistyczny, człowiek na swój sposób szczery i otwarty; przyszedł on raz na audjencję do biskupa częstochowskiego, ks. Kubiny. Gdy ks. biskup wyraził swoje zdziwienie, że przybysz może wyznawać hasła komunistyczne, ten z całą prostotą odpowiedział:

— Księżę Pasterzu, serce to ja mam katolickie, polskie, tylko brzuch jest komunistyczny.

I tu — mówiąc nawiasem — znowu odmalował się ów zdrowy nieodstępny rozsądek człowieka z ludu.

Więc i na to rzekome niebezpieczeństwo Dostojny Profesor patrzy pobłaźliwie, jak na pewnego rodzaju megalomana, bo wie, że ono samo zniknie lub do reszty utraci grunt pod nogami, gdy się poprawią warunki bytu. Szukając prawdy o rzeczach, na które ogół lubi patrzeć jak na złe widmo, Prezydent kieruje na nie szkła obiektywnej nauki. Nic go nie przestrasza, żadna zła propaganda ani infekcja fanatyzmu, albowiem ujmuje on fakt społeczny przedewszystkiem jako zjawisko przyrodnicze. Wiedziony tą samą metodą i rutyną nauki, ma on swoje rozumienie zjawiska, gdy mówi o bolszewizmie. Prześwietla go jak rentgenolog i nie jest przystępny probierzom stronnicy, lecz traktuje wielką, krwawą nawałnicę rosyjską, jako eksperyment, wprawdzie rozmiarów potwornych, niemniej jednakże jako czysto doktrynerski eksperyment, którego nieudanie się nie musi być dopiero udowadnianiem. Chemik — socjolog ani się boi, ani się gorszy, ani potępia, ani przeklina, albowiem uznaje jedynie fakt doświadczalny, który na szczęście już jest bliski ostatecznego rozegrania się, już swoje dalsze losy przesądził i obnażył całą kruchość wykalkulowanego apriorystycznie systemu. Dla całego świata zaś, na który Prezydent patrzy jakby na widownię, jakby na amfiteatralne ławy słuchaczy, oczekujących co wyjdzie z rosyjskiej retorty, rezultat taki ma decydujące znaczenie wyroku, albowiem świat już teraz wie, czego się trzymać i z tragicznego fiaska eksperymentu potrafi wyciągnąć właściwe konsekwencje.

Wyrazistość i plastyka słów, zawsze nieszukanych i naturalnych, w jakie Dostojny Profesor ubierał swoje tezy, wzrosły jeszcze, gdy przeszedł do pewnych wielkich wydarzeń i nazwisk, stanowiących główną część treści dnia, który przeżywamy lub niedawno przeżyliśmy.

...Zapytał mię, czym znał Gabryjela Narutowicza. Odpowiedziałem, że nie przypominam sobie, aczkolwiek znałem jego brata i chociaż tyłu wspólnych mieliśmy

przyjaciół i znajomych. Znowu więc Dostojny Profesor rzucał kilka szerokich o wielkim polocie myśli. Nie powiem, że były to zdania bolesne, albowiem i w tym nawet wypadku Prezydent zostawiał odzewy liryczne słuchaczowi, a właściwie jego wewnętrznemu odczuwaniu, sam zaś mówił o fenomenie samej postaci. Rysuje ją syntetycznymi linjami. Narutowicz to była wielka, genialna głowa, która na każdym polu tak samo jak na polu inżynierji mogłaby wykazać całą skalę swoich zdolności. Wciągnięty w ogromne plany robót wodnych i znalazłszy pole dla swojej energii i inicjatywy w Szwajcarii, zrósł się z nią i stał się jej ulubieńcem. Tak się zżył z ludnością i z zwyczajami helweckimi, że nawet opanował doskonale charakterystyczny a tak trudny dialekt niemiecki swojego otoczenia. Zadomowił się w krainie alpejskiej i zagospodarował. Było więc dla niego nerwowym wprost wstrząsem i ciężką próbą, gdy pewnego dnia przyszedł kolega i przyjaciel, Ignacy Mościcki, z uroczystą misją od rządu polskiego. Wiemy — jaką.

Miał więc opuścić ten swój tak dobrze umontowany warsztat pracy, swoje koncepcje i swoje osiedle i rozstać się z tymi wszystkimi, którzy do tego stopnia wierzyli w jego rozum przenikliwy i wszechstronny i wielki autoritet moralny, że nawet w sprawach politycznych lubili się go cichaczem radzić?

— Jakto, więc mam rzucać te inwestycje ogromne, które rząd szwajcarski mi powierzył i w które włożył setki milionów franków?

Ale Kolega nastawał. Więc Narutowicz, z pochyloną pod brzmieniem decyzji głową, odrzekł:

— A więc dobrze. Nie byłem na froncie — niech to będzie moim frontem.

Gdyby słysząc te słowa, przypominające styl Waszyngtonów i Lincolnów, słuchacz chciał puścić wodze żalonym rozpamiętywaniom lub nawet przeżył w tej chwili żalobną refleksję, że dusza Polski nie wiedziała i teraz je-

szcze nie wie dostatecznie, kogo w Narutowiczu straciła, — to byłyby to refleksje tylko i wyłącznie słuchającego. Byłoby to tylko dosnucie i dopowiedzenie tego, o co Prezydent nawet jednym słówkiem nie potrafił. On bowiem w swojej, zawsze tej samej, powściągliwości uczonego i mędrca wyrażał tylko hołd wielkości umysłu i charakteru. Mówił z zachwytem i uwielbieniem o wielkiej komecie, ale krwawego jej śladu jakgdyby nie widział.

I mówił: „To nie był taki, co przewyższa innych o tyle i tyle stopni, lecz taki, co ich przerasta o całe poziomy, co wystrzela nad szczyty, wyższy od górnych“.

Ale mówił w ten sposób, jakgdyby Gabryjel Narutowicz żył jeszcze, jakgdyby prowadził z nim dialog, podobny do rozmowy, której poświęcił jedną z najbardziej wstrząsających i wzruszających książek — Józef Piłsudski (*Rozmowy z Gabryjelem Narutowiczem*) książkę niewielką, zlaną krwawymi łzami bólu i oburzenia.

Miałem uporczywie to wrażenie, że Wielki Zmarły żyje jeszcze i rezyduje na Zamku Królewskim, i w narodzie przytomny jest, że to nie dwóch ale trzech ludzi historia szarmonizowała, powoławszy ich do wzięcia na swoje barki odpowiedzialności za honor i szczęśliwość Polski: dwóch Prezydentów i pierwszego Marszałka.

I nie mogłem się też oprzeć błyskawicznie — przelotnej myśli, że właśnie tutaj, w tem miejscu i podczas tej rozmowy ukazała mi się cała jałowość deliberacji na temat zdolności Józefa Piłsudskiego do wybierania ludzi na naczelne lub górujące stanowiska. Śmiesznymi wydały mi się wszystkie owe spory i kontrowersje, wobec tych dwóch postaci Prezydentów, z których jedna jest już tylko posągiem.

Cóż naturalniejszego nad to, że Dostojny-Profesor najbardziej ważne swoje słowa poświęcił temu właśnie Pierwszemu Marszałkowi Polski? Wypływało to nie tylko całkiem logicznie z rodzaju i toku tematów, które przy mnie poruszał, ale i wiązało się z tem, że właśnie

w tej chwili wziętem ze stołu, przy którym siedzieliśmy, książkę moją: *Józef Piłsudski jako pisarz i mówca* i wręczyłem oczekującą tego zaszczytu szlachetnemu Gospodarzowi. Wziął ją do rąk z widocznym i wielkim zaciekawieniem i nawet odrazu rozbłysłem i nieukrywanem bynajmniej wzruszeniem. Mogłem więc mieć nadzieję, że praca moja obudzi w nim nietylko posłuch myślowy, ale i echo serdeczne.

I w tem miejscu jęły płynąć potokiem wyznania i wspomnienia.

Prezydent przyjaźni się z Komendantem od lat trzydziestuściu t. j. od r. 1894. Od pierwszej chwili łączyło ich bliskie pokrewieństwo zapatrywań i dążeń. Spotykali się w różnych miastach Europy, od Londynu aż po Lwów, i Prezydent, oglądając się wstecz i przebiegając myślą tę wielką drogę życia, z podziwem patrzy na stałość i niezachwianność linji, po której to mknęło w rozpędzie, to posuwało się z głębokim namysłem wielkie dzieło Józefa Piłsudskiego. I dziś jak przedtem, uważa go za jedną z najjaśniejszych i najpotężniejszych indywidualności naszej epoki. Psychologicznie zaś rzecz biorąc, widzi w nim wspaniałe zjawisko hypnotycznego prawie, trwałego zapatrzenia się w jeden jedyny wielki cel: majestat i potęgę Polski. Z wysokości tego ideału swojego Piłsudski nie jest przystępny temu, co się dzieje w dole jako zachęta lub przeszkoda. Zapory łamie bezwzględnie i jest nieczuły i niewrażliwy na wszystko to, co chciałoby lub mogłoby ten kierunek i bieg jego imponującej woli powstrzymać.

Miałem wrażenie, słuchając tego dorywczego szkicowania portretu Marszałka, że szkicujący miałby do powiedzenia o swym przyjacielu wiele rzeczy rozległych i mocnych. Było to bowiem już nietylko naukowe ale prawie że artystyczne odczuwanie niezwykłego fenomenu skoncentrowania indywidualności i zogniskowania iście

suwerennej woli w jednym namiętym, całozyciowym programie.

Pod wpływem tego nagłego zamigotania światła artystycznego przypomniały mi się raz jeszcze słowa, wypowiedziane w epoce, o więcej niż dwa tysiące lat poprzedzającej naszą, a będącej w historii ludzkości rodzajem firmamentu, usianego gwiazdami piękna i heroizmu. Słowa to Arystofanesa; włożył je w usta Ajschylosa w swoich „Żabach“. Bronią Alcybiadesa, który, choć światoburcza jego wyprawa sycylijska nie powiodła się, nie przestał być wielkim rycerzem i mężem stanu i człowiekiem nieodpartego uroku: „Nie należy w mieście hodować lwiatka, a skoro wyrosło w lwa, trzeba stosować się do jego natury“*

Kiedy Prezydent zestawiał te tak wydatne rysy fizjonomji Piłsudskiego z drobnymi zamazanymi główkami tych, co chcą targać jego wielkie przedziwo i niszczyć wiekom się oddającą jego robotę, czułem wyraźnie, że Dostojny Profesor nie pozbawiony jest słusznej samowiedzy, że i sam podąża mozolnie przez trudne przełęcz górskie swojej doniosłej misji, tak jak podążał przed jej objęciem i jak podążali przodkowie jego.

Być może, iż komuś bliższemu szerzej otworzyłby serce. Na razie wydawało mi się, iż spostrzegam, że nie byłoby mu obojętnem, gdyby ogół, który ma dlań tyle miłości i tak za każdym razem żywiołowo manifestuje swój entuzjizm dla jego osoby i z tak głębokim instynktem odczuwa jego niezwykłość, miał bardziej świadome i więcej wyrobione pojęcie o dalekim zasięgu intelektu swojego Prezydenta...

* Cytuję z przedmowy Józefa Jedlicza do jego znakomitego przekładu „Ptaków“ Arystofanesa.

II

Prezydent Mościcki jest nie tylko głową wielkiego państwa ale i rdzennym wykwitem swojej rasy. Reprezentuje on bo odczuwa, — odczuwa bo reprezentuje, wszystkie zalety i przewagi duszy zbiorowej swojego narodu. a przede wszystkim jego tak często objawianą odwagę przyznawania pierwszeństwa woli i uczuciu; przyznawania prymatu wśród kategorii umysłu — kategorii moralnego nakazu, heroizmu i przetwarzania rzeczywistości. Prymat ów to innemi słowy kategoria czynu, dyktowanego przez imperatyw moralny i ideowy, a realizującego się przez opanowanie tej rzeczywistości wiedzą równie życzliwą, jak bywa wiedza wesoła, humanitarnością i nieogładaniem się na drogi wykoślawione, jeśli one uważane są gdziekolwiek za drogi proste i wiodące w przyszłość.

O ile pamięć moja mogła zatrzymać całe bogactwo uwag i napomknien, poczynionych przez Prezydenta, wytworzyły one klarowne, bezchwiejne wrażenie, że oddając się na usługi Państwa i Narodu, idee Dostojnego Profesora spłotyły się nierozdzielnie w jedno z potężnym całokształtem systemu ideowego i wodzostwa, którym na imię Józef Piłsudski.

Trudno wprost oprzeć się pomysłowi takiej dwuosobowej konstrukcji: Akropol polski wspiera się na dwóch niepołomnych kolumnach, których Polsce pozazdrościłby mógł nie jeden z większych od niej narodów, — gdyby

wogóle świat chciał i umiał rozumieć jej odmienność i duchową wyżynność jej przywódców.

Te dwa filary — dwaj przodujący mężowie — noszą w sobie ducha narodu z całą jego wielką przeszłością i z całym jasnowidzeniem szlaków przyszłości. Ogarniają ten naród niejako trójwymiarowo; są ogniwami w organicznej ciągłości wieków. Obadwaj doszli do swych stanowisk nie po szczeblach sukcesów w brutalnej walce o byt, nie przez zwycięstwo w wyścigu kapitalistycznym, nie jako zdobywcy materialnego szczęścia i powodzenia, i nie jako championy w jakiegokolwiek bądź grze losowej. Stali się pro prostu naturalną historyczną koniecznością i wyszli z przeszłości dojrzałej do urodzenia jutra, tak jak wychodzi dziecko z łona matki. I każdy z nich mógłby powiedzieć o sobie językiem Słowackiego: „Płaszcz mego ducha jest niewyżebrany, ale świetnością przodków moich świetny“. Tą świetnością jest cnota, którą ciągle jeszcze nazywa się spartańską lub rzymską, a której nazwy i tytuły możnaby słusznie zmodernizować, patrząc na niejedno, co w Polsce rośnie i kwitnie.

Obadwaj ci ludzie zajęli swoje szczyty w sposób całkiem swoisty. Wiodły ich wielkość idei i ducha i absolutna niezdolność do kompromisów. Bowiem nic nie mają wspólnego z oportunizmem świata. Jeśli przyjęli jakiegokolwiek kompromis, to jedynie z własnym narodem i ludem, kompromis płynący z poszanowania wielkiej społeczności i tego wszystkiego co jest dla niej drogie i święte, zrodzone z misterjum wiary i obyczaju. Zajęli swoje górne miejsca, nie chcąc na nich siedzieć wygodnie, nie rozparci bezfrasobliwie i egoistycznie, lecz dając na każdym kroku i każdego dnia przykład zespolenia z całością narodu i budując z nim pospołu ogrom nie kramarski, nie małoduszny, nie ograniczony, nie zakochany w sobie i nie przeciętny.

Śpójnia czy współpraca tych dwóch ludzi ukutą została nietylko przez kolej wypadków dziejowych i zma-

gań, od dłuższego czasu wyrocznych dla Polski, sądzonych jej przez całą przeszłość, lecz wyrosła ponadto z pnia wzajemnego porozumienia, które jest ściśle i sięga wgląb. Trwa ono tak długo, jak trwa dzisiejsza rzeczywistość, jak trwa w Polsce jawa po długim śnie lub raczej śpiączce, która ogarnęła naród po roku 1863, czyli tak długo, jak gejzer idei niepodległościowej parzy i z letargu i barłogu spycha sumienie narodowe społeczeństwa; odkąd trwa ten nieprawdopodobny, niezrozumiały dla innych proces przygotowywania się do strzaskania oków, usankcjonowanych przez polityczny koncert europejski, przez owo „odrzucenie kamienia Polski od budowy europejskiej“, o którym mówi Mickiewicz; odkąd trwa groźna a tak realna ofensywa na sybaryckie piłactwo świata wobec Polski, — odkąd unieszkodliwiono Polifema, jednookiego Cyklopa, stróżującego w jaskini gwałtu i przemocy.

Grupując myśli i rozważania Prezydenta Mościckiego w blok pewnej całości, przekazuję je tutaj nie w tem przekonaniu i nie z tem zaleceniem, że są tak zwanymi rewelacjami.

Myśli takie i im pokrewne, jako prawdy wielkie, mają zawsze rodowód dawniejszy i rzadko kiedy łączą się z imieniem jednostek tylko; spotykamy je u wielu pisarzy i ideologów, patrzących dalej i wnikliwiej i, co najważniejsza, idących przez życie za pewnym wysokim drogowskazem, w którym jednocześnie naród się wygłasza i wypowiada się ludzkość. Kiedy przytaczam słowa Dostojnego Profesora o wrodzonym Polakom gruncie psychicznym bezinteresowności, mógłby ktoś przypomnieć mi wieszczę słowa autora *Ksiąg Narodu Polskiego*:

„Jeśli dają Ojczyźnie swojej, tedy rozprawiają, ile podług zakonu czyli konstytucji dać mają.

A wasz zakon inny jest, bo wy mówicie: wszystko co

nasze jest, Ojczyzny jest, wszystko co naszej Ojczyzny jest, wolnych ludów jest“.

I dlatego „Narodowi naszemu dane jest dziedzictwo przyszłej wolności świata“.

I również, gdy wynoszę na światło i widok publiczny owo zaznaczone przez Prezydenta pierwszeństwo sprężyn woli i uczucia w ogólnej dynamice umysłu, to można nawet prostego poglądu postawić wszystkie owe formy i odmiany „woli czegoś“, niby pewnego rodzaju absolutu drugiego rzędu, „rzeczy samej w sobie“, którymi tak chętnie operują metafizycy, budując np. ideje „woli mocy“, „woli życia“, „woli wartości“ (Weininger) i t. p.

I niemniej też pewne jest, że nie pozowała na odkrycie owa spokojna, pełna cierpliwości i pobłażania uwaga Prezydenta, że dzisiejszy régime moralny świata się nie utrzyma, że kto wie, czy Polska nie będzie miała wiele do powiedzenia w tej mierze, i czy w wyścigu narodów do lepszego bytu nie stanie się ona ośrodkiem nowych ugrupowań przez nowe kształtowanie się dokoła niej postulatów wyższej idei w życiu państwowym. Ta wiara nabiera szczególnej wagi w ustach Zwierzchnika państwa i powinna zainteresować każdego człowieka światlejszego, całkiem niezależnie od stopnia jego przynależności do komuny polskiego patriotyzmu i niezależnie od stopnia nasilenia jego uczuć narodowych, domowych, nacjonalnych. Są to takie wypadki i wychylenia się w świat szeroki, nie kończący się bynajmniej na granicach Polski, jak analogiczne słowa wiary Piłsudskiego, że przewrót, który się dokonał w ostatnich dniach, a którego rezultatem będzie racjonalniejszy ustrój państwowy i doskonalsza technika prawodawstwa i rządu, stanie się szkołą dla innych narodów. Pojęcie o nakazie takiego promieniowania, o takiej duchowej ekspansji narodu, również wiąże się z tem dziedzicznym usposobieniem idei państwomoralnej, którą w sposób klasyczny, zaćmiewający wszystkie inne, wypowiedział przed stu laty ten sam

twórca ideologii napozór pielgrzymiej i apostołskiej, w gruncie rzeczy zaś — całkiem ziemskiej, gruntownie i konsekwentnie socjalistycznej, choć głęboko po chrześcijańsku socjalistycznej.

„Bo wszelkie prawdy polityczne, wszelkie uczucia narodowe, niewprowadzone w życie, w obieg nierozlane, zamknięte w obrębach kraju lub miasteczka, są jak wody, które bez ujścia gniją lub wietrzeją. Póki teorje Rousseau wrzały w Genewie, była burza, jak mówiono, w szklance wody. Rozszerzyły się teraz niezmiernie i scena polityczna i widoki ludów; teraz Francja nawet cała, jeśliby zamknęła się w sobie, jej burze równie byłyby śmieszne w oczach Europy“ (Mickiewicz: *O dążeniu ludów*).

W sposób więcej bojowy, ambitny i imperjalistyczny wypowiada myśli podobne inny jeszcze genialny Słowianin, z przeciwległego krańca Słowiańszczyzny, Dostojewski, zawrotny znawca podświadomych podłoży i podglebi w narodach: „Naród prawdziwie wielki nigdy nie pogodzi się z myślą, że odegra w ludzkości rolę drugorzędną“. W przeciwnym razie „będzie tylko materjałem etnograficznym“.

To co Dostojny Profesor, badacz energii w naturze, powiedział o specyficznej energii polskiej i sugestji jej ducha, mającego się wyładować w interesie przyszłości, nieodbicie przywodzi na myśl wielkie słowa „Starego tygrysa“ Jerzego Clemenceau porównywające w dziele *Grandeurs et misères d'une victoire* znaczenie Francji dla dalszych dróg cywilizacji, ze znaczeniem Niemiec; Francja posiada według niego to *quantum* energii kosmicznej, które zapewnia jego ojczyźnie trwałą rolę w przyszłości, podczas gdy Niemcy, postawione w razie swojej hegemonji na czele ludów, zepchnęłyby je w barbarzyństwo. Wielki mąż stanu francuski korzysta w tej paraleli, oczywiście w sposób bardzo swobodny, literacki tylko, ze sławnej teorii *quantów* Maxa Planka. Niemcy są jak potężne ongi Bizancjum, które straciwszy

był państwowy, straciło i wpływ moralny na przyszłość, podczas gdy Rzym i Grecja są jako cywilizacja wiekuiste.

Ten krąg idei i prawd, mniej lub więcej bliski temu, co mówił Prezydent, sam się prosi o to, ażeby być komentarzem i wyjaśnieniem jego słów.

Wszystkie tego rodzaju wycieczki w dalekie perspektywy, czy mają w sobie dążność wszechświatową, ponieważ romantyczną, będącą rozumnym produktem nowoczesnym mesjanizmu, są zawsze albo wyrazem przeobrażenia się w ścisły tylko że daleko patrzący rozum państwowy, albo unaocznieniem faktu, że romantyzm polski, wykarmiony na bystrem i subtelnym rozumieniu stosunku świata do Polski, był zawsze pomimo pytyjskich, mistycznych kłębow egzaltacji, które go spowijały, trzeźwy, przenikliwy i mądry. A przeto wszystko, co z jego nawskróś twórczego i szlachetnego gniazda wyrosło, nie jest żadną zgoła fantastyką, lecz oznacza zdolność i silną potrzebę patrzenia w jutro i w pozajutro ludzkości.

Więc chociaż o wszystkich tu przytoczonych myślach Prezydenta możnaby powiedzieć, że są właściwie tylko potwierdzeniem przyrodzonej dążliwości polskiej do przetwarzania tego, co jest, na to, co dyktuje wyższa ideologia — to jednakże — któżby mógł zaprzeczyć, że te myśli oparte o tak wielki autorytet nauki, wykwitłe na łanach gruntownej i wszechstronnej znajomości najbardziej w przyszłość wysuniętych placówek zachodniej cywilizacji, nabierają waloru emanacji szczególnej i nawskróś oryginalnej? Emanacja to umysłu wyszkolonego w tej z nauk ścisłych, która czyni ciągle przewroty, która na każdym kroku dezawuuje przeszłość. Poglądy to badacza i poszukiwacza, jak mało który inny, zdolnego do najskrajniejszych nawet przekreśleń prawd utartych i wszelkiego wogóle passeizmu. Jeśli taki intelekt pozytywny, matematyczny, laboratoryjny i jak to wypływa z samego ducha i natury elektro-chemji, obrócony

w stronę, gdzie ustawicznie pukają do okien nowe świty, problemy i odkrycia, staje zawsze tylko po stronie *najgórniejszych* spośród dawnych kanonów moralnych swego narodu, wbrew ogłuszającym chórom, wywrzaskującym hasła szczęśliwości episjerskiej, — to to ma swoje olbrzymie znaczenie.

Nie mogłem ukryć wielkiej radości, że tak niespodzianie znalazłem się twarzą w twarz z prawdami, które najwięcej, wedle mego, towarzyszącego mi przez całe życie przekonania, trafiają w sedno filozofji polskiej przyszłości. I nie chciałem taić przed swym Dostojnym Gospodarzem, że oto zrodziła się we mnie, jego uważnym gościu, nagła pokusa podzielenia się tym szacownym materiałem z ogółem, i że wprost niewolno mi zabierać go na swą wyłączną własność. Na to moje wyznanie Prezydent nieco żartem ale jeszcze więcej serjo zachnął się:

— C h y b a p o m o j e j ś m i e r c i !

Nietrudno mi było przekonać Prezydenta, że mało jest prawdopodobieństwa, ażebym go przeżył. I nietrudno było przekonać go, że kiedym wchodził na pokoje Zamku, dalekie odemnie były literackie tentacje zużytkowania tej cennej dla mnie audjencji, że zrodziły się one dopiero pod wrażeniem rzeczy tylko co zasłyszanych, bądź nowych, bądź doniosłych, a w każdym razie ukazujących mi intelekt Prezydenta z nieznaney mi, niespodziewanej strony.

Załatwiliśmy tedy sprawę kompromisowo. Stało na tem, że z tego com usłyszał, z tej treści, którą mi zawierzono, zdam publicznie sprawę — jeżeli takie jest już moje gorące pragnienie — po kampanji wyborczej.

Dostojny Profesor nie czynił sekretu z przyczyn, dla których nie kwapił się z wyrażeniem zgody na rozgłoszenie jego poglądów: oto był w owej chwili kategorycznie przeciwny odwracaniu uwagi w którąkolwiek stronę! — od najważniejszych problemów dnia, od sprawy wiodącej do zreformowania ciał prawodawczych, słowem,

od wielkiego, niewątpliwie epokowego dzieła, które przedsięwziął Józef Piłsudski.

Z całą mocą zaznaczył, że się w tej chwili absolutnie podporządkowuje nakazowi interesu ogólnopolskiego i woli osoby swojej w stronę widowni nie wysuwać.

Wielka światłość rozumu czy wielka solidarność patriotyczna pierwszego obywatela państwa? Czy też istotna bezgraniczna skromność? — Nie chcę analizować. Ale niepodobna, ażeby i ten gest wielkiej piękności nie uczynił na każdym a więc i na mnie wrażenia czegoś nowego i niespotykanego.

Ale oto wybory minęły i ważna sprawa została rozstrzygnięta. Więc wydobywam swój skarb z zanadru i pokazuję go ludziom.

Ambicji literata, żeby spojrzeć z bliska w oblicze, i wsłuchać się z bliska w słowa człowieka o takiej doskonałości etyki i taktyki stało się zadość.

I również znalazła zupełną satysfakcję chęć przyjrzenia się z bliska samej osobie fizycznej tak niepospolitego człowieka, spełniającego na swój niegromki sposób wielkie posłannictwo. Pragnąłem wyczytać się dokładnie w piękną, wyrazistą głowę Prezydenta, której niezliczone, z konieczności popularne podobizny i fotografie dodają — rzecz to aż nazbyt zrozumiała — pewnej konwencjonalnej gładkości i słodyczy, gdy w rzeczy samej charakteryzuje ją przede wszystkim wybitnie męska siła rozumu, a jej dobroć i szlachetność przeświecione są nawskróś intelektualizmem. Postać to wyniosła a prosta; jej mowa naturalna i zbliżająca, swada obrazowa i plastyczna, nieszukana wytworność — mogły sprawiać złudzenie, że zstąpiła cała z pięknego gobelinu, który poza plecami Prezydenta rozwieszony na ścianie, rzucał na całą królewską komnatę swoje subtelne harmonje i gry kolorów.

Być może, iż po moim odejściu Prezydent pomyślał sobie słowami znakomitego myśliciela włoskiego Benedetto Croce: *Oto dusza literacka*, gdy ja odsłoniłem prze-

cież fragment realnego życia i przeżywanych problemów...

Ale tej duszy literackiej chodziło nie o zaspokojenie pospolitej ciekawości. Tak mało spotyka w świecie dzisiejszym prawdziwych dusz dostojnych — żeby użyć słownika Fryderyka Nietzschego, pseudo-polaka, nad-człowieka i arcy-artysty — że nie mógł oprzeć się głosowi wewnętrznemu, który mu mówił, że jedną z takich wzniosłych i nieteoretycznych zgoła dusz, jedną z bardzo niewielu, znajdzie w Dostojnym Profesorze, rezydującym na Zamku Królewskim...

GLOSSA DO STR. 16.

Scisłość nakazuje dodać, że zależało mi szczególnie na tem, żeby Pan Prezydent poznał moją książkę o Józefie Piłsudskim. Uczyniono bowiem w prasie naszej, poza pismami, wyznającemi ideologję Marszałka, wszystko co można było uczynić żeby istnienie mojej pracy zagłuszyć, a ją samą przekreślić, zabić. Była to przecież pierwsza próba wizerunku intelektualnego Komendanta, odślaniała w rzucie syntetycznym wielkie linje jego ideologii, zarówno retrospektywnej, jak i tej, której pieczęć chciałby wycisnąć na dzisiejszej naszej rzeczywistości.

I była ta praca pierwszą próbą wykazania tej jedności duchowego tonu i twórczego patosu, które przechodziły przez wszystkie Piłsudskiego oświelenia spraw politycznych i zagadnień ustroju państwa, jak i przez jego strategję, jego stosunek do wojny wogóle i do politycznego układu świata. Była pierwszym a więc pewnie nie wolnym jeszcze od błędów szkicem rekonstrukcji duszy twórczej, która zarówno w słowie jak w życiu, w teorii jak w czynie, z przeznaczeniową koniecznością i fatalistycznym nachmurzeniem łamie świat dla osiągnięcia swoich wielkich celów.

Należało tedy puścić w ruch wszystkie nefas, żeby książkę wymazać z uwagi i pamięci ogółu, i zmobilizować wszystkie narzędzia inkwizycyjne prasy, żeby autora zniweczyć absolutnie za wszystko co uczynił dawniej i co czyni teraz. Nie poruszając wartości samej publikacji, nie wdając się w jej ocenę, nie usiłując nawet wyszydzić jej lub z błotem zmieszać, — albowiem i to byłoby dla niej światem istnienia i reklamą jej bytu — wygłupiano się nad jej autorem, jak się nie wygłupiał jeszcze nikt nad nikim — odkąd istnieje wogóle piśmiennictwo polskie.

Zbyt wdzięczny to temat dla literata, który życie całe holdował raczej bojowości niż kwietyzmowi, i zbyt wielką była podłość i nikczemność tego zorganizowanego napadu, zbyt cenny przyczynek do

odsłonięcia właściwej fizjonomji będących w służbie Hetery Demagogii, żebym się miał z nimi załatwiać w broszurze, która, jako poświęcona osobistości najdostojniejszej nie zniósłaby takiej domieszki elementu, zebranego z oslich łąk tak zwanej publicystyki. Poświęcę im w najbliższej przyszłości osobną uwagę.

Mało psychologiczna ale zato bardzo tępa plotka, że moje odczyty o Józefie Piłsudskim jako pisarzu, wygłoszone w Hadze i Amsterdamie przed publicznością międzynarodową, były pewnego rodzaju zaprzęciem się propagandzie sławy Piłsudskiego za jakieś i to nawet grube pieniądze i że również specjalnie hojnie opłaconą została moja książka, znajduje najlepsze oświetlenie w fakcie, że właściwy urząd ministerjalny, w piśmie, które na innem miejscu przytoczę, odmówił mi nawet zwrotu kosztów za wyjazd do Holandji, pomimo że, abstrahując od tego co sam o owych odczytach i ich sukcesie moralnym myślę, nadszedł z Roterdamu urzędowy raport polskiego konsula generalnego, p. Jana Pawła Kaczkowskiego, zawierający taką oto konkluzję:

„Przestudjowanie treści tych po większej części entuzjastycznych recenzji zasługuje na uwagę, wykaże bowiem jak potężną bronią propagandową mogą być odczyty o Marszałku. Przytem muszę zauważyć, że ujęcie tematu przez pana Cezarego Jellentę było nader szczęśliwe, wobec tego, że przedstawia ono Marszałka ze strony na zachodzie prawie nieznaney, a w sposób doniosły zaokrąglającej jego wielką postać historyczną“.

O liście dziękczynnym, który do mnie elita inteligencji holenderskiej wystosowała — powiem gdzie indziej.

Co zaś tyczy się książki mojej, to o ozłoceniu jej da się powiedzieć to samo. P. generał Juljan Stachiewicz, prezes Towarzystwa Wiedzy Wojskowej i szef Biura historycznego (ten którego zasługą jest zebranie, utrwalenie i zabezpieczenie pism, mów i rozkazów Marszałka a w końcu pomnikowe zorganizowanie całkowitej ich edycji), wprawdzie nie namyślał się nawet dwudziestu czterech godzin przed zaakceptowaniem mojej książki — odmierzył jednakże honorarjum ściśle według zasad księgarskich, ja zaś ponadto na propozycję jednego z oficerów, administrujących nakładami Tow. Wiedzy Wojsk. zrzekłem się części honorarjum, żeby przez obniżenie ceny uprzęstąpić nabywanie książki wojskowym.

Oto jaki był stosunek mój do złota a złota do mnie w tej sprawie, jak zresztą we wszystkich sprawach literackich, które wypełniają moje życie.

Lecz zaraza jest na to, żeby zarażała. Więc chętnie i z całą śantowiedzą ulegli jej niektórzy ludzie z obozu tak bardzo mnie osobście sympatycznego, robiący historję. Krzycząc w głos, że są wyznaw-

eami ideologii Józefa Piłsudskiego i jej chorążymi, literaci bardzo świeżego stempla, bez szlachetniejszego pietyzmu dla nauki, poszli za popędem swego prowincjonalnego instynktu monopolu. Jakże śmiał ktoś, w dodatku cywil, być pierwszym, który za chaotycznie jeszcze wówczas rozproszonemi pracami Marszałka dojrzał wyraźny mocny splot nici przewodnich, zgodny w sobie system i krwawo przerobiony w swem wnętrzu pogład na przeszłość i przyszłość Polski? Jako nowicjusze w rzemiośle pisarskiem, i przytem typowi *esprits d'escalier* spostrzegli po niewczasie, po wyjściu książki mojej, że można było z tej strony podejść do problemu indywidualności Józefa Piłsudskiego, i postanowili w swoich artykułach i wystąpieniach okolicznościowych, dotyczących pism Marszałka, traktować moją książkę jako nieistniejącą, i użyli do tego i w dalszym ciągu używają wielkiej księgi innego *esprit d'escalier*. Książkę tę, pełną uczonych pakuł a bezceremonjalnie opartą na mojem studjum, uznano za pierwszy właśnie etap badań nad Piłsudskim. Uczyniono zaś to w sposób charakterystycznie *junkierski*.

Tak jest — junkierski. Albowiem wielka wojna jest to dzika bestja, która nawet wtedy, gdy się z niej rodzi niepodległość wielkiego narodu, miewa swój przychówek i swoje karykatury junaków. Nie brak ich nigdy i nigdzie, nawet w takim wojsku jak polskie, na które pada silna poświata glorii legionów i promień niespożytego bohaterstwa. Ci to junkrzy, zabierający się do pisania dziejów wielkich czystych entuzjasmów i bezgranicznego oddania się wielkiej sprawie i jej twórcy, są zabardzo Prusakami z ducha, ażeby mózdz zdawać sobie sprawę, że przekreślając jeden z najważniejszych przyczynków do zrozumienia tego twórcy, są wprawdzie wobec autora przyczynku złośliwcami, prawdziwemi „schneidig“, ale wobec wielkiego wodza i człowieka, o którego przedewszystkiem chodzić powinno — *faryzeuszami*. Zciemniają bowiem tajemnicę jego ideowej i konstrukcyjnej potęgi, i jak to kiedyś powiedział p. Antoni Anusz, niszczą to zbliżenie duchowe Piłsudskiego do zainteresowań narodu, które książki mojej było głównym celem.

Każdemu z tej kategorii piszących, który udaje, że o tej książce nie wie, można śmiało powiedzieć: *Kłamiesz!* Każdemu, kto udaje że, nie wie, iż w niej był ten rytm, ta temperatura, ta szerokość ujęcia, które jedynie odpowiadają prometejsko-wulkanicznej formacji Józefa Piłsudskiego, można powiedzieć: *Kłamiesz!* Każdemu, kto wierzy, iż ciężka kolubryna, pełna niestrawnej, przedrzeźnianej scholastycznej, godnej Pantagruela eholalicznej uczoności, ma prawo udawać, że o mojej książce nie wie (!!!) można powiedzieć: *Kłamiesz!* A jeśli to nawet pisarz uczciwszy i lepszy i również symuluje niewiedzę, że moja książka pierwsza podniosła ton wiedzy o Piłsudskim,

przez ściągnięcie jej ze sztucznych wyżyn mitologicznych, i że wolno nie wiedzieć o niej, to i temu można powiedzieć: *Kłamiesz!*

Są jednak tacy co nie kłamią, nie tylko wśród oficerów jak pp. Szyszko Bohusz, Kawałkowski i Pomarański, ale i wśród cywilów. Przykład: Konsul polski w Pradze, dr. Lubaczewski, kiedyś pregi jego mieszkania przestąpił, powitał mię przeproszeniem serdecznym, że w swojej książeczce propagandowej o Józefie Piłsudskim nie wspomniał o mnie, chociaż na mojej pracy przeważnie się oparł:

A potem: Józef Wasowski, Rolle, poważna „Prawda“ łódzka i t. d.

Ma się do zawdzięczenia owym płaskiej puchy monopolistom, że Marszałek Piłsudski dopiero w osiem miesięcy po wyjściu książki mojej poznał ją i to jedynie dzięki szan. pułkownikowi Gąsiorowskiemu, który zauważył, że w Belwederze nie znalazł nawet jej śladu. Wtedy to dopiero przesłałem ją Marszałkowi (i wtedy otrzymałem podziękowanie). Gdy przeto w ten sposób dusze junkierskie ukształtowały los mojego studjum, *musiało mi zależeć na tem szczególnie, żeby ono nie było czemś nieistniejącem dla Prezydenta Mościckiego* i liczyć mogłem na to, że przy wszystkich niewątpliwych swoich brakach, brakach pierwszej inicjatywy i pierwszego zarysu, znajdzie ono oddźwięk u tego wielkiego umysłowca, budowniczego własnego światopoglądu i programu narodowego.

A pod protekcyjną osłoną owego *essay* skromny pracownik ducha złożył Dostojnemu Profesorowi i kilka innych swoich książek. Chciał mieć złudzenie, że na Zamku zainteresują się może w pewnej szczęśliwej dla niego chwili temi tomami, które wyrosły na drzewie tyłu przeżyć, takich długich goethe'owskich „lat wędrówki“ i „lat nauki“ Wilhelma Meistra, — które zrodziły się z tyłu strat i tyłu poszukiwań, z obcowania literackich lub osobistych z setkami wielkich prawdziwie ludzi, i tyłu i tak głośnych wołań o *twórczość* w literaturze i o *wielkość* w zawodzie pisarskim.

Mylą się bowiem w swych rachubach, że można zniszczyć takie wysiłki, takie walki, takie miłości i takie, ach, jakże straszliwie słuszne! nienawiści — zarówno ci z pod znaku półgłówka jak i ci z pod znaku junkra...

Pisałem w grudniu r. 1930.



WYKAZ PRAC

ROZWIĄZANI

WYKAZ PRAC
ROZWIĄZANI
WYKAZ PRAC
ROZWIĄZANI

TEGOŻ AUTORA:

POWIEŚCI:

- W PRZESILENIU. Warszawa. Wyczerpane.
LINJE HOFERA. Powieść, Lwów. Wyczerpane.
WIELKI ZMIERZCH. Pamiętnik-powieść.
WIZJA MADONNY. Warszawa 1931. Nowość.
CYKL „KRWAWY LILJE“:
JASNY HUBERT, Warszawa 1924.
RYCERZE LILJI, Warszawa 1927.
KSIĄŻĘ O TURKUSOWYCH OCZACH. Warszawa 1929.

DRAMATY I POEZJE:

- NURTY. Sceny dramatyczne, Kraków. Wyczerpane.
ORFAN. Poezje i część II Nurtów, Kraków. Wyczerpane.
KRASWA. Z cyklu „Mity“. Dramat fantastyczny, Kraków. Wyczerp.
MEDUZA. Dramat. Kraków.
BALETNIK. Sztuka z tańcem wczorajszym. Warszawa.

KRYTYKA I ANALIZA:

- FORPOCZTY. Wespół z Marją Komornicką i Wacławem Nałkowskim.
Wyczerpane.
GALERJA OSTATNICH DNI. (Wizerunki. Rozbiory, Pomysły. Monachjum, Szkice o malarstwie, H. H. Taine, Jan Matejko, Inten-sywizm i in.). Wyczerpane.
WSZĘCHPOEMAT I NAJNOWSZE JEGO DZIEJE. Prometeiści.
(Byron, Shelley, Ludwika Ackerman, Leopardi, Faust i Manfred).
Kraków. Wyczerpane.
JULJUSZ SŁOWACKI DZISIAJ. Kraków. Wyczerpane.
DRUID JULJUSZ SŁOWACKI. Lwów — Brody. Wyczerpane.
CYPRJAN NORWID. Zarys syntezy, Stanisławów. Wyczerpane.
GRAJĄCY SZCZYT. STUDJA I SZKICE. (Koncepcje Polski, Tok energii w poezji polskiej. Dzwony Szopena. Jacek Malczewski. Dwie epopeje kupieckie., Ksawery Dunikowski i inne).
JULJUSZA SŁOWACKIEGO „SAMUEL ZBOROWSKI“ transkrypcja sceniczna i rekonstrukcja. Warszawa.
POWTÓRNE ŚCIECIE SAMUELA ZBOROWSKIEGO I INNYCH.
Kartka z dziejów inkwizycji literacko-teatralnej. Warszawa — „Dom książki polskiej“.
DANTE. Zarys. Wydanie nowe. Warszawa.
JÓZEF PIŁSUDSKI JAKO PISARZ I MOWCA. Warszawa 1929.
Nakład Tow. Wiedzy Wojskowej.

FILOZOFJA:

- STUDJA I SZKICE FILOZOFICZNE. (Epidemja pesymizmu. Etyka nierogacizny. Czy społeczeństwo jest organizmem. Etyka Wundta. i inne). Warszawa. Wyczerpane.

W przygotowaniu:

- MUZYCZNE FANTAZJE WIESZCZÓW POLSKICH.
NEOPROMETEIŚCI.
ERNEST TEODOR AMADEUSZ HOFFMAN.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
30-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

